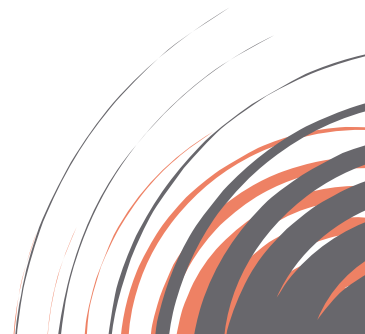




■ ewa toczkowska: bańki i żalniki

■ w cieniu wielkiego jana



■ jubileusz
najwspanialszej niwczanki

■ prezentacje teatralne



■ proza, scenka, wiersze,
bartek rusek, ilona kula, wojciech brzoska

EWA TOCZKOWSKA

W latach 1996 - 2001 uczennica Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Dąbrowie Górniczej. Od 2001 roku studentka, początkowo Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, potem w Katowicach. Dyplom z wyróżnieniem w 2006 roku.

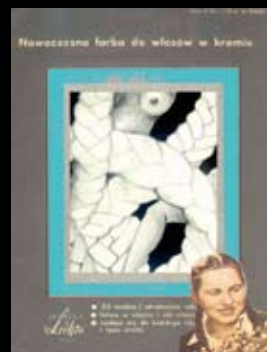
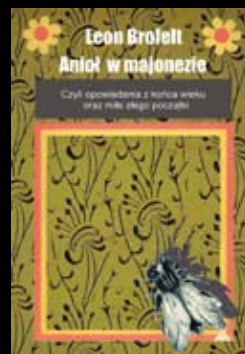
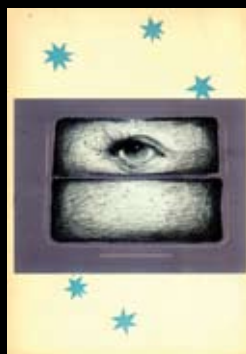
Wszechstronne zainteresowania od malarstwa sztalugowego, poprzez grafikę i ilustracje książek do form użytkowych, biżuterii i bibelotów, ciekawe kompozycje przestrzenne. Tajemniczy urok jej prac (i - nie ukrywam - także urok osobisty) skłoniły niżej podpisanego do prośby o ilustrację wyboru opowiadań „Anioł w majonezie”. Niebawem ukaże się.

W latach studenckich Ewa Toczowska uczestniczyła w licznych zbiorowych wystawach (między innymi w Miejskiej Bibliotece Publicznej w 2005 roku) pokazując projekty książki autorskiej. Rok później doczekała się pierwszej indywidualnej wystawy. Były to „Żalniki” w Sosnowieckiej Galerii Patelnia 36. Prace zwracające powszechną uwagę niebanalnym podejściem do tematu i choć utrzymane (zgodnie z tytułem) w klimacie smutku i nostalgii podobały się liczny odwiedzającym.

Aktualnie trwa w Sosnowcu wystawa prac Ewy w filii MBP przy ulicy Gospodarczej. To właśnie Bańki, które pokazujemy na okładce.

Prezentując na łamach SOSNartu skromny wybór prac Ewy życzymy autorce sukcesów i rozwoju oryginalnego talentu, a wszystkim Państwa zachęcamy do odwiedzenia wystawy.

Leon Brofelt



projekty ilustracji do książek



Modlitwa



Grażynka

W CIENIU WIELKIEGO JANA

Szanowni Państwo!

Maj jest miesiącem szczególnym. Zwłaszcza w Sosnowcu. Nie tylko przyroda rozkwita i obfitą zielenią pokrywa nasze wstydliwe, codzienne bałaganiarstwo, ale także obfituje w wydarzenia kulturalne. To w maju wypada Dzień Bibliotekarzy i Bibliotek, w maju z inicjatywy Miejskiej Biblioteki Publicznej odbywa się cała seria spotkań z pisarzami w ramach **Sosnowieckich Dni Literatury**, na przełomie kwietnia i maja gościliśmy teatry z regionu, w maju wreszcie wypada znamienna dla miasta rocznica.

Duch **Jana Kiepury** unosi się nad Sosnowcem i to jest całkowicie zrozumiałe i bardzo dobre. Gdyby ktoś nie wiedział, to 16 maja minęła kolejna rocznica urodzin Jana Kiepury, już 106. A gdyby ktoś także nie wiedział, kim był Jan Kiepura (ponoć są jeszcze tacy i to w Jego rodzinnym mieście!) przypominamy jednym zdaniem: był to wybitny artysta operowy, śpiewak obdarzony wspaniałym, o ogromnej sile głosem, który dokonał rzeczy wprost niebywalej, potrafił otóż przenieść swą pozycję na światowych scenach operowych na masową popularność filmowego, śpiewającego amanta w rodzącym się właśnie kinie dźwiękowym. A działo się to kilkadziesiąt lat temu od Warszawy, Lwowa i Wiednia poczynając a na Mediolanie, Paryżu i Nowym Jorku kończąc. W ten sposób Jan Kiepura równie dobrze może patronować muzycznym przedsięwzięciom poważnym i trudnym oraz inicjatywom spod łżejszego znaku. I tak się dzieje. Pozostaje jedynie ubolewać, że przez wiele lat „Chłopaka z Sosnowca” wokół było zbyt mało, ale to już przeszłość.



Wiesław Ochman odebrał nagrodę
foto: Andrzej Niczewski

W tym roku po raz pierwszy ustanowiono, przyznano i wręczono **Teatralne Nagrody Muzyczne im. Jana Kiepury**. Choć inicjatywa narodziła się w Warszawie, w Mazowieckim Teatrze Muzycznym, który to Teatr przyjął „Chłopaka z Sosnowca” za swego patrona, uroczystość i galowy koncert odbyły się w Sosnowcu. I tak powinno być! Nagrodę przyznawano w ośmiu kategoriach,

indywidualne i zbiorowe, dla najlepszych w minionym roku na muzycznych scenach. Uroczystość była duża, towarzyszący jej koncert nadzwyczaj udany, nawet miejsce (hala w Zagórz), gdzie gala się odbywała jakby mniej dokuczało. Trudno, jeszcze nie mamy innego. Nie będziemy przypominać wszystkich laureatów i wszystkich występujących ze znanymi wyjątkami. Otóż nagrodę dla

c.d.n. na następnej stronie



Jadwiga Romańska i Jan Nowicki
foto: Andrzej Niczewski



Ewa Bem
Foto Andrzej Niczewski

najlepszego reżysera (**Wojciecha Kościelniaka**) wręczała Dostojna Jubilatka, „Dziewczyna z Niwki” **Jadwiga Romańska**. Dlaczego wyjątek? Odpowiedź znajdziecie Państwo na stronie 4. Galę prowadzili: wybitny tenor **Wiesław Ochman** (też laureat Nagrody Specjalnej za Całokształt Pracy Artystycznej) oraz wybitny aktor **Jan Nowicki**.

Jeszcze nie wybrzmiały w uszach arie śpiewane w piątkowy wieczór (dokładnie 16 maja) na gali w Zagórzu, a już następnego dnia w sali dawnej „Muzy” odbyła się uroczystość finałowa **I edycji Festiwalu Zespołów Muzycznych „Kiecura Fest”**.

To inicjatywa **Grzegorza Majzla** wsparta skutecznie przez Klub im. Jana Kiepcy i Urząd Miasta. Impreza o zupełnie innym charakterze, zrazu skromna, ale jeśli pomyślnie będzie się rozwijać - czego szczerze życzymy - może przynieść wielorakie korzyści wśród młodszego pokolenia przede wszystkim, gdzie nazwisko patrona imprezy bywa niekiedy mniej znane. Jury I Festiwalu, któremu zechciała przewodniczyć **Ewa Bem**, przyznało pierwsze nagrody i wyróżnienia, publiczność miała okazję i przyjemność wysłuchać kilku piosenek w wykonaniu Pani Przewodniczącej i niektórych laureatów.

Wystąpił zespół **Languard** z Będzina, który oczarował słuchaczy brawurowo wykonanym utworem „Kaszmir” we własnej, oryginalnej aranżacji. Potem stanął na estradzie **Grzegorz Koniński**, chłopak z Gliwic, który ze swą gitarą basową (wspartą tajemnymi sztuczkami elektrycznej maszynierii) dokonywał rzeczy zadziwiających. Dowiódł, że nawet używając takiego instrumentu jest w stanie nawiązać twórczo i ciekawie do utworów znanych z repertuaru patrona „Kiecura Fest”. Gitarzysta wytworzył odpowiedni nastrój, bawił siebie i nas dźwiękami egzotycznymi ale miłymi dla ucha. Okazuje się otóż, że można w sposób niezwykle interesujący, także dla młodych, korzystać z melodii powstałych i nuconych przed dziesięcioleciem.

W następnym tygodniu, w piątek 23 maja uroczystości poświęcone pamięci Jana Kiepcy zakończył - tradycyjnie już w Kościele św. Tomasza Ap. - mocnym akcentem **Turniej Tenorów Polskich**. Artyści występujący w koncertach czeladzkiego Festiwalu AVE MARIA śpiewali w Sosnowcu. W tym gronie wystąpili między innymi: ulubieniec sosnowieckiej publiczności **ks. Paweł Sobierajski** (śpiewał też w Zagórzu) oraz nestor polskich tenorów **Bogdan Paprocki**.

W maju też dowiedzieliśmy się, że powstanie wreszcie w Zespole Szkół Muzycznych im. Jana Kiepcy klasa śpiewu. To dobra wiadomość. Kto wie, czy za kilka lat nie będziemy okłaskiwać nowych, młodych wybitnych wokalistów. Sosnowiec ma wszak wielkie i chlubne pod tym względem tradycje.

Poza tym w maju ukazały się dwa nowe tomiki poezji autorów związanych z miastem, odwiedzali nas pisarze i poeci, muzycy i piosenkarze, słowem działo się tak wiele, że nie jesteśmy w stanie wspomnieć o wszystkich tych wydarzeniach na kilku stronach SOSNartu.

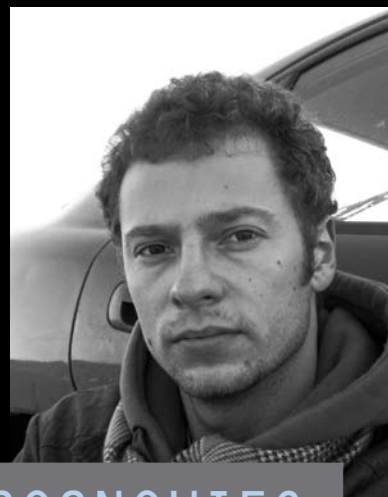
O Dniu Dziecka natomiast, czyli o V Festiwalu Piosenki Dziecięcej, który ma przecież znaczący związek z Janem Kiepcą - napiszemy w następnym numerze.

Ewa Kościńska i Tomasz Kostro



Grzegorz Koniński
Foto: Andrzej Niczewski

BARTOSZ RUS



SOSNOWIEC
ŚRODULA,
ŚRODEK ZIMY.

Jest pusto. Takie jest pierwsze wrażenie. To najbardziej zaskakuje, bo gwarne zazwyczaj miejsca, zaludnione skwery i głośnie klatki schodowe są puste i ciche. Nie ma nikogo.

No i jest ciemno. Gdyby nie pojedyncze latarnie i ich żółtoblade, cmentarne światło, to szare i odrapane bloki tonęłyby w całkowitym mroku. Ale na szczęście jest wystarczająco jasno by człowiek widział swój cień.

A więc, jest ciemno i pusto. Idę przez środek osiedla. Od latarni, do latarni. Od jednej świetlnej plamy do drugiej. Idę przez środek osiedla a śnieg skrzypi pod moimi butami. Idę i mam wrażenie, że jestem tu sam, że tych wszystkich ludzi rzeczywiście nie ma, że nagle opuścili swe mieszkania i wyjechali gdzieś daleko. Ale oni tam są, wiem o tym doskonale. Śpią w swych łóżkach, upchnięci w wieżowcach jak w olbrzymich kredensach, jak w bibliotecznych katalogach, posegregowani, oznaczeni numerami, Kowalski pod siódmką, Malinowski na czwartym, po lewej. Jeden nad drugim, drugi nad trzecim, dziewiąty nad dziesiątym...

Tak naprawdę to chyba nie wszyscy śpią, bo gdzieś tam w oknach świeci się światło. To światło to jakaś oznaka życia, jakaś nadzieja, że ktoś tam jest, że coś się dzieje. Chyba, że ktoś zapomniał je zgasić przed wyjściem...

Idę sam, w zupełnej ciszy. Słyszę tylko skrzypienie tego zeszłotygodniowego śniegu i odgłos pociągu w oddali. Pociąg... Tak w pociągu na pewno ktoś jest. To pewnie ekspres do Warszawy, w nim są ludzie, piją kawę w Warsie albo palą papierosy, część z nich pewnie śpi, ale to się nie liczy, bo co to za sen w pociągu? W przedziałach jest ciepło i można zapomnieć o mrozie na zewnątrz... To dla mnie pocieszenie, bo za godzinę też będę siedział w pociągu.

Bartosz Rusek – z zawodu nauczyciel angielskiego, z zamiłowania podróżnik ze szczególnym upodobaniem wioząc się po górach. Znałca i miłośnik bluesa (założyciel niegdysiejszej grupy 41-200). Wiele wrażeń z licznych podróży lubi opisać i czyni to ciekawie.

Przyspieszam kroku by nie spóźnić się na autobus i odruchowo spoglądam na zegarek – jest przed szóstą. Niebo jest rozgwieżdżone i nie wiadomo dokładnie gdzie przebiega horyzont. To tak jakby kosmos dotykał ziemi, jakby nasza niebieska planeta straciła nagle kontakt ze słońcem i zamarła gdzieś w podróży donikąd...

Na przystanku zaledwie kilka osób, nic dziwnego – jest niedziela i wszyscy normalni ludzie właśnie przewracają się z boku na bok. Stoimy razem i czekamy na autobus, wszyscy kurczą się i próbują zatrzymać przy sobie każdą odrobinę ciepła. Przytupujemy i znaczymy powietrze swoimi oddechami. Zawsze podziwiałem tych, którzy muszą wstawać tak wcześnie by zdążyć do pracy. W końcu przyjeżdża, w środku prawie pusto, nikt nie wysiada. Siadam przy oknie i patrzę na oddalające się powoli, zamazane osiedle. Gdy wieczorem tu wrócę, będzie wyglądało tak samo.

SZUKAJĄC LATA

To było gdzieś w Austrii, gdzieś pomiędzy Linz a Wiedniem. Zapadł już wieczór a mnie w końcu udało się złapać stopa. To było jak los wygrany na loterii – chłopaki jechali do Polski.

W pierwszej chwili nie mogliśmy się porozumieć, bo zwiędzony obcymi tablicami zagadnąłem do nich po angielsku, ale na szczęście pojawiło się jakieś polskie słowo i wszystko stało się jasne.

Było ich czterech i wracali do kraju z dwoma samochodami kupionymi na handel. Ich czterech i dwa wielkie Ople Omegi. Na początku trochę kręcili nosem, że niby mają uszkodzony dyferencjał i mogą nie dojechać, że mogą być problemy na granicy i tak dalej, ale w końcu dali się przekonać i wzięli mnie ze sobą.

Wrzuciłem plecak do bagażnika, wsiadłem do tyłu i ruszyliśmy w drogę.

Rzeczywiście, słychać było ten dyferencjał, ale miałem

nadzieję, że wszystko będzie okej. Chłopaki o nic nie pytali i sami też nic nie mówili. Siedziałem sobie wygodnie z tyłu i patrzyłem przez uchylone okno. Robiło się coraz ciemniej. Do środka wpadało cudowne, chłodne powietrze – wspaniała nagroda po upalnym, lipcowym dniu.

Za sobą miałem pół Europy i dwie, prawie nieprzespane noce. Przez całe Niemcy przejechałem belgijską ciężarówką, której kierowca – Vincent, okazał się rewelacyjnym gościem. Jechaliśmy sobie powoli, oglądaliśmy krajobrazy i rozmawialiśmy o wszystkim, co tylko przyszło nam do głowy, i co potrafiliśmy sobie nawzajem wytłumaczyć. Rozmawialiśmy w połowie po angielsku, w połowie po francusku. Na początku szło kiepsko, ale po kilku godzinach dogadywaliśmy się prawie w stu procentach. Okazało się, że jestem pierwszym autostopowiczem, którego wziął ze sobą, odkąd zaczął jeździć ciężarówką, piętnaście lat temu. Dał mi swój adres i powiedział, że mogę do niego wpaść, jeśli znów będę w Belgii.

Vincent specjalnie nadłożył trochę drogi, żeby wysadzić mnie w dogodnym miejscu. I tak, pod wieczór rozstaliśmy się na malej stacji benzynowej za Linz.

Wszędzie stały tureckie i węgierskie ciężarówki, robiło się coraz później, a ja bałem się, co będzie dalej.

Od początku miałem wielkiego farta. Gdy tylko doszedłem do wylotowej drogi i wyciągnąłem kartkę, zatrzymał się wielki ford, którym dojechałem do samego portu w Dover. Prom był pełen moich rodaków. Siedziałem cicho i słuchałem opowieści o poszukiwaniu pracy w „Londku”, o czadowych imprezach, o piciu, i o paleniu. Potem obok mnie rozsiadły się jakieś nastoletnie angielski. Wyglądały jak tanie prostytutki i rzeczywiście rozmawiały tylko o pieniądzach i seksie.

Czułem ulgę, że opuszczam tę wyspę, na której wszystko jest odwrotnie niż być powinno, wszystko jest inne, a jak coś jest takie jak w domu, to zazwyczaj dwa razy droższe. Poza tym, najzwyczajniej w świecie cieszyłem się, że wracam na stały ląd. Co kontynent, to kontynent – zawsze trochę więcej gruntu pod nogami.

W Calais wszyscy wsiadli do autobusów a ja ruszyłem przez port w stronę autostrady.

Przeszedłem dobrych kilka kilometrów zanim udało mi się coś złapać. Potem szło już łatwiej. Czasem jechałem kilka, czasem kilkadziesiąt kilometrów, ale wciąż za mało, żebym mógł być spokojny.

Rozmawiałem z kierowcami na stacjach benzynowych i pilnowałem, by zawsze wysiadać tam, gdzie nie będzie problemów z zatrzymaniem kolejnego samochodu – tego nauczyłem się sam, gdy przez kilka godzin stałem gdzieś za Lille i słuchałem tylko pisku klaksonów. Uratował mnie jakiś facet, z którym dojechałem do granicy belgijskiej.

To było dziwne miejsce. Samochody trochę zwalniały, by przejechać przez krótkie zwężenie i gnały dalej. Dookoła prawie pusto, tylko jeden budynek z powyrzwanymi oknami, być może dawna strażnica. Miejscowi

po pewnie zdążyli już zapomnieć, że była tam kiedyś granica. Ja byłem Europejczykiem dopiero od dwóch miesięcy i taka granica, a właściwie jej zupełny brak był dla mnie czymś nowym i zaskakującym.

Tam zatrzymał się jakiś stolarz i pojechaliliśmy dalej.

Brukselę przejechałem obwodnicą w jakimś portugalskim tirze, zdołałem tylko zobaczyć lotnisko i mieszkalne przedmieścia. Potem zrobiła się noc i przestałem liczyć kilometry. Było już bardzo późno, gdy kolejny zagadnięty przeze mnie kierowca odpowiedział, że tak, jedźcie przez Niemcy. Mało tego, powiedział, że nazywa się Vincent, że jedzie do Austrii, i jeśli chcę to mogę z nim jechać do samego końca.

Siedziałem w pędzącym Oplu i patrzyłem na świecące w oddali naddunajskie miasteczka. Było mi bardzo dobrze, wreszcie mogłem trochę ochłonąć. Siedziałem sobie wygodnie, słuchałem radia i próbowałem usnąć. Nagle któryś z chłopaków pogłośnił muzykę i wewnątrz samochodu wypełniły dźwięki gitary, chwilę później usłyszałem słowa piosenki: „looking...looking for the summer.”

Chris Rea... Jakoś nigdy za nim nie szalałem, ale ten kawałek pasował idealnie do chwili. Te dźwięki dokładnie oddawały mój nastrój. Ten moment pamiętam naprawdę bardzo dobrze, jak scenę z filmu. Mogę go sobie odtworzyć w całości, z wszystkimi detalami, a gdy słucham tego utworu to tak jakbym znowu tam był... Siedzę wygodnie a samochód pędzi naprzód, jest chłodno, przyjemnie. Nucę sobie pod nosem i zastanawiam się, co zrobię po przyjeździe do domu. Może nad jakąś wodę? Nie, lepiej w góry...

Obudziłem się na granicy w Chyżnem. Wszystko otaczała gęsta mgła, z niej wynurzył się nieco zaspany strażnik, zerknął na paszporty i puścił nas wolno. Wstawał dzień, robiło się jasno, ale ciągle nie było nic widać. Zaczęły się polskie dziury na drodze, ale chłopaki nie zwalniali. Nie mogłem już zasnąć, za bardzo byłem zajęty oglądaniem znajomych widoków, za bardzo podniecała mnie bliskość domu i tego wszystkiego, do czego tak bardzo tęskniłem.

Dokładnie o siódmej rano siedziałem na rynku w Krakowie i wystawiałem twarz ku słońcu, które świeciło już bardzo mocno. Byłem u siebie i czułem się wspaniale. To był naprawdę piękny, letni poranek. Wtedy poczułem, że czasem szczęścia nie trzeba szukać daleko, że czasem wcale nie trzeba go szukać.

Styczeń 2005.

Kiedy w końcu kwietnia cały muzyczny Kraków świętował uroczyste Wielki Jubileusz swej Królowej poprzedni numer SOSNartu był już w składzie. Tu w Sosnowcu czujemy się poniekąd rodziną, zatem odnotowanie wspaniałej rocznicy Jadwigi Romańskiej odłożyliśmy na później. Właśnie na dziś. Wierzmy też, że taką okazję świętować będziemy dłużej i odpowiednio okazałe.

Jest coś żenującego w fakcie, że pisząc o święcie kobiety – i to kobiety wspaniałej – muszę wspomnieć o Jej wieku. Cóż, minęło właśnie osiemdziesiąt lat od dnia, kiedy w Nivce, wówczas przemysłowej osadzie pod Sosnowcem, przyszła na świat Jadwiga Romańska. Czy ktoś mógł wtedy przypuszczać, że z popłakującego oseska wyrośnie Królowa Krakowa, najlepsza Butterfly na świecie, mistrzyni bel canta, Gilda stulecia, jednym słowem najbardziej utalentowana i wszechstronna śpiewaczka w Polsce? A jednak.

W Jej drobnym ciele znalazło się dość mocy i pasji by wrodzony talent rozwinąć do niebotycz-



G. Rossini: Cyrulik sewilski
Jadwiga Romańska w roli Rozyny.
fot. archiwum

I nic, ani wtedy, ani nigdy potem, nie pozwoliło mi opuścić mojego Krakowa, I nigdy tego nie żałowałam, A okazji nie brakowało. Już ta pierwsza była jakże kusząca, po wygranej międzynarodowym konkursie w Monachium (rok 1957) – do dziś wspominam dreszcze, gdy w koncercie galowym wykonywałam arię Rozyny z „Cyrulika sewilskiego” po polsku. (...) Potem Roman Palester (...) z żoną Basią oprowadzali mnie po mieście razem z Janem Nowakiem-Jeziorańskim i nawet pokazywali wille, w których mogłabym zamieszkać... Do tego poważne oferty od niemieckich impresariów. Nie, postanowiłam wrócić.”

W ten sposób związała się Jadwiga Romańska z Krakowem trwale i na zawsze. „To dla Krakowa nazwisko wielkie i historyczne. – wspomina Józef Szajna na łamach innego numeru Dziennika Polskiego – Pracowałem z nią w teatrach w Bytomiu i w Krakowie i za każdym razem potrafiła mnie urzec, nie tylko, gdy jako scenograf ją ubiera-

JUBILEUSZ NIWCZANKI

nych rozmiarów. A łatwo nie było. Ani czasy, ani miejsce nie sposobiły do tego. Dzieciństwo w zadymionej Nivce, co tu kryć, w prowincjonalnej, szarpanej kryzysem robotniczej Nivce jakoś słabo korespondowało z blaskiem jupiterów na estradach świata. Potem przyszły mroczne lata wojny akurat w czas młodości i pierwszych porывów serca. A może właśnie dlatego? Może ukradkiem, tajnie pobierane pierwsze lekcje, może piosenki wędrowni do odległej szkoły w tuż powojennej nędzy tak zahartowały Jej charakter?

Jadwiga Romańska ukończyła Liceum Muzyczne w Katowicach w 1950 roku ze stosownym wyróżnieniem. Wtedy też po raz pierwszy wystąpiła publicznie w Filharmonii Śląskiej. Zaraz potem rozpoczęła studia w katowickim konserwatorium uwieńczona dyplomem (z odznaczeniem!) w 1954 roku. W tymże roku zadebiutowała na scenie Opery Krakowskiej rolą Gildy w „Rigoletcie”.

„Zauroczona muzyką od dziecka, gdy jako mała Wisia podśpiewywałam pierwsze melodie, – wspomina pani Jadwiga na łamach Dziennika Polskiego – gdy uczyłam się gry na skrzypcach, nosząc teatr w sobie, wiedziałam zarazem, że za życie w sztuce cenę płaci się ogromną. W tamtym dawnym czasie dochodziło do tego trud codziennego bytowania; tułanie się bez mieszkania – u ludzi dobrych i niedobrych. (...) I wreszcie dostałam pokój, wynajęty w hotelu Polonia, za co płaciła Opera. A potem było wielkie, wspólne mieszkanie przy Karmelickiej. (...) Kupiłam fortepian, na raty, mam go do dzisiaj, i najpierw musiał leżeć też w ratach, rozłożony w korytarzu. Wreszcie stanął w pokoju – na nim spał w koszyku urodzony właśnie Maciek, ja z mężem na jakimś tapczanie, a mamusia, która przyjechała by mi pomóc, na składanym łóżku pod fortepianem. (...)”

łem, ale przede wszystkim, gdy zza kulis słuchałem jej śpiewu. (...) Trudno zapomnieć Jadwigę Romańską. To mistrzyni, która na długo zapadała w serce.” Gdy kilka lat temu niżej podpisany obserwował pamiętny benefis Królowej w Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu również uległ jej urokowi, jej i jej uczennic, bo od lat Jadwiga Romańska zajmuje się z równą pasją pracą pedagogiczną.

Choć przez lata urzekąca swym sopranem przede wszystkim publiczność krakowską (kiedy to chodziło się do opery głównie „na Romańską”, to przecież występowała również na wielu innych scenach. Oto, dla zobrazowania, jak była przyjmowana, garść cytatów w europejskiej prasie: „W wykonaniu partii Rozyny wykazała polska śpiewaczka wirtuozerię techniczną i pokazała piękny, słodkiego brzmienia głos” (Munchner Merkur 1957). „Jadwiga Romańska jest Rozyną, z której Rossini szczerze by się cieszył” (Wiener Kurier 1966). „Jadwiga Romańska przekazała włoskie pieśni Cacciniego i Scarlatiego w duchu najlepszej sztuki bel-canta” (Salzburger Volkzeitung 1960). „Kiedy przebrzmiała owacja, jasne stało się dla Wiednia odkrycie. (...) Jadwiga Romańska dysponuje pięknym sopranem i potrafi nim wyśpiewać cudowne koloratury (...) Muzykalność pełnej wdzięku Polki predysponuje ją wyraźnie do świetnych partii operowych Królowej Nocy Mozarta, Łucji Donizettiego i Rozyny Rossiniego” (Noues Osterreich 1966). „Scenicznym czarem Gildy Romańska rzuciła sobie pod stopy widzów od pierwszego pojawienia się artystki na scenie. Każdy jej gest przepełniony jest duchowym ciepłem, każda muzyczna fraza wciąż pełniej i piękniej rysuje obraz.” (Sowietskaja Sybir 1960).

Obok manifestowanej przy każdej okazji miłości do Krakowa nigdy pani Jadwiga Romańska nie zapomniała o Sosnowcu i swej rodzinnej Nivce. Była tu często, służyła swą osobą, wiedzą, talentem i doświadczeniem przy różnych okazjach.

W roku 2002, roku uroczystych obchodów stulecia miasta pani Jadwiga Romańska została uhonorowana Nagrodą Artystyczną Sosnowca za całokształt działalności i dorobku artystycznego. Gratulowaliśmy wówczas serdecznie. Powtarzamy to dziś życząc Dostojnej Jubilatce niezliczonych lat w doskonałym zdrowiu, stale obecnego na Jej ustach uśmiechu i częstych wizyt w Sosnowcu.

Tomasz Kastro



G. Verdi: Trawiata – J. Romańska w roli Violetty,
Kazimierz Pustelak w roli Alfreda Germonta
fot. archiwum

PREZENTACJE TEATRALNE

Na przełomie kwietnia i maja w Sosnowcu, w sali Teatru Zagłębia odbyły się kolejne Prezentacje, czyli że gościli u nas teatry z regionu pokazując to, co mają w repertuarze ciekawego. Oto garść refleksji o dwu przedstawieniach, zdaniem autora najciekawszych. „Mleczarnia” zasługuje na uwagę szczególną. Autor, wybitny artysta plastyk to nasz najbliższy sąsiad, mieszkaniec Sosnowca, można powiedzieć ozdoba i duma miasta.

Dwaj przyjaciele z Dęblińskiej, czyli "Mleczarnia" Jacka Rykały

Premiera: 2.02.2007. Teatr Śląski w Katowicach.

Z pozoru banalna historia. Oto w izbie wytrzeźwień spotyka się dwóch mężczyzn. Różni ich niemal wszystko, począwszy od statusu społecznego, po światopogląd. Łączy, alkoholowe delirium i wspomnienia z dzieciństwa. To one zdominują statykę zamkniętej przestrzeni-klatki. Fizyczne zamknięcie bohaterów, oznacza tu ich psychiczne otwarcie. Z pijackich wizji niczym w kalejdoskopie wyłaniają się kolejne obrazy z przeszłości. Jest: góra lodu za mleczarnią, czerwony mustang i widokówka z żaglówką. Niezwykłe spotkanie po latach, staje się pretekstem do szczerej rozmowy. Rozliczeń z przeszłością, wyartykułowania dawnych żali i bólów. A także sentymalny powrót do młodzieńczych pasji i miłości. Całość wpisana jest w bardzo konkretną, miejską przestrzeń. "Trójkąt" trzech sosnowieckich ulic: Dęblińskiej, Czystej i Kołłątaja, to epicentrum świata zapamiętanego z dziecięcych lat. Wspomnienia są tu niejako ucieczką przed bolesną teraźniejszością i niepewną przyszłością. W bohaterów przypominających tych z kart dzieł Hłaski, czy Pilcha, mistrzowsko wcielili się: Wiesław Sławik oraz Wiesław Kańtoch. Całości widowiska towarzyszą ruchome projekcje, które idealnie obrazują upływ czasu i nieuchronność zmian, tak w życiu scenicznych bohaterów, jak i naszym.

Tragikomiczna baśń z Częstochowy, czyli "Alibi" Łukasza Wyleżałka

Premiera 10.02.2007. Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie

I znów z pozoru banalna historia. Gdzieś w Polsce, z parkingu zajązdu giną kolejne niemieckie samochody. Miejscowy inspektor rozpoczyna dochodzenie. Pierwsze podejrzenie pada na miejscowy gang, drugie... na gapiostwo nocnego stróża Dima. To on jest głównym bohaterem tej historii. Opowieści oscylującej gdzieś pomiędzy baśnią, kryminałem, a moralitetem. Opowieści zanurzonej w specyficznym, małomiasteczkowym świecie przesiąkniętym zapachem kapuśniaku i zatęchłej hotelowej pościeli. Świecie gdzie: "Ludzie czasem lubią się robić w konia" i "Tylko na niebo można patrzeć za darmo (...) Tylko ono jest dla wszystkich". „Alibi” to niezwykle przedstawienie z wymowną grą światła i subtelnym aktorstwem. Już w zamyśle reżysera, aktorzy mieli do minimum ograniczyć swą grę. Efekt jest wyśmienity. Na scenie pojawiają się niezwykle postaci, z których każda na swój sposób urzeka i zniewala. Cała trójka: P.Kwietniewska (Gerda), A.Hutyra (Dima) i M.Kula (Inspektor), dają mistrzowski popis scenicznej wirtuozerii. Całość dopełnia muzyka Janusza "Yaniny" Iwańskiego i scenografia ucznia Krystyny Zachwatowicz. (Mariusz Rila)-obaj z Częstochowy. W "Alibi" obok zagadki kryminalnej obserwujemy samotność jednostki i pragnienie wolności. Zastanawiamy się nad naturą ludzką i rzeczywistą wartością pojęć takich jak: honor i uczciwość. A wszystko bez zbytecznych scenicznych fajerwerków. Częstochowski spektakl to dowód, iż można zrobić wartościowe przedstawienie nawet przy udziale skromnych środków. Kluczem do sukcesu jest bowiem historia, którą chce się opowiedzieć.

Na tegorocznych Prezentacjach znalazło się miejsce nie tylko dla wyżej wymienionych realizacji teatralnych. Na scenie Teatru Zagłębia pojawił się także Gliwicki Teatr Muzyczny („Królowie Operetki”), Teatr Miejski z Zabrza („Wszystko o kobietach. Wszystko o mężczyznach”), Teatr Polski z Bielska-Białej („Testosteron”), oraz Scena Polska z Cieskiego Cieszyna („Pół żartem, pół sercem”).

eco

ZAPROSZENIA



III ZDERZENIA POETYCKIE

SOSNOWIEC : TRÓJMIASTO

sobota 21 czerwca 2008, godzina 18.00

Pub&Galeria Patelnia 36

ul. Warszawska 3

SOSNOWIEC

Ilustracje do wierszy występujących poetów zaprezentują uczennice Szkoły Rysunku „Wytwórnia”

Sosnowiec:

Ryszard Będkowski

Ilona Kula

Sławomir Matusz

Trójmiasto:

Wojciech Wencel

Wojciech Boros

Artur Nowaczewski

ARBITER

AGNIESZKA KŁOS – Wrocław

Sosnowieckie Centrum Sztuki - Zamek Sielecki

Galeria

EXTRAVAGANCJ

zaprasza na otwarcie wystawy
13 czerwca 2008 r. godz. 17.00
wystawa potrwa do 17 sierpnia 2008 r.



Damian Pietrek

CZŁOWIEK I JEGO OTOCZENIE – rysunek i malarstwo



sponsor SCS Zamek-Sielecki

ILONA KULA

ZAKOCHANI

Kaśka lat 30

Zenek lat 45

Kołodnicy (troje dzieci ok. 14 lat)

Świątecznie urządzony pokój, przytulny, na pierwszym planie stół z 4 krzesłami, z lewej strony choinka, okno. Przy stole siedzi Zenek. Ogląda porcelanowe nikołajki, aniołki, których pod dostatkiem. Na stole także talerze i filiżanki. Pod choinką dwa pudełka, prezenty.

K (Z kuchni) Wyjrzyj przez okno!

Mężczyzna wstaje i wygląda.

Z: Jest! (Ciszej do siebie) Ładnie. Balkony przystrojone jak żadnego roku. (Pauza) Kaśka, szybciej tam!

K (Wchodząc z wazą) Już, już. Proszę barszczyk.

Kładzie wazę na stole i staje przed mężem patrząc mu w oczy

Z: No co.

K: Oj Zenek, Zenek... Nic. (Odwraca się w stronę stołu) A gdzież oplatek?

Z: W kuchni. Ja przyniosę. Usiądź. To znaczy stój.

Wychodzi

K (Rozglądając się po pokoju) Nareszcie święta. Wszystko pachnie. (Pauza) Tyle smaków, kształtów, kolorów... Za te piękne rzeczy ja bym duszę oddała jeśli byłoby trzeba. (Pauza) Nawet wczoraj przy zakupie karpia zostawiłam sklepowej resztę. Karp duży, to niech dziewczyna kupi sobie chociaż czekoladę. Rozumieją państwo, czasem trzeba być człowiekiem, a w świątecznym okresie to już szkoda gadać.

Wchodzi Zenek

Z: Oplateczek dla pani.

Przystępują do życzeń

K: Życzę Ci zdrowia...

Z: Ja Tobie też, he he.

K: Poczekaj, he he, co robisz, najpierw ja, a potem Ty.

Z: E tam. (Uśmiecha się) Życzę Ci zdrowia, szczęścia i pieniędzy. A poza tym, coś przygotowałam. (Chrząka, po czym fałszuje) Aniołek śpiewa, że zstąpi z nieba. Niech zstąpi do talerza, bo u nas wieczera!

K: Ha ha ha. Pięknie! Jakie to zabawne! Chociaż odpowiedniej byłoby żebyś śpiewał dziś kołędy.

Z: Tak też będzie, nic się nie martw.

K (Uśmiech) A ja Ci życzę: zdrowia, szczęścia i pomyślności.

Z: Dziękuję.

Ściskają się, Zenek coraz mocniej przytula kobietę

K: To jeśli już się połamaliśmy, zjedzmy co Bóg dał.

Zasiadają do stołu

Z: Uszka.

K (Biorąc głęboki oddech) Tak. Ale spokojnie. Kupiłam z przeceny.

Z: Uszek miało nie być.

K: Zapomniałam. Właśnie to o tym zapomniałam.

Z: Ty rozrzućno. Jaka była umowa?

K (Pokornie) Że moich ulubionych uszek nie będzie.

Z (Gładząc ją po włosach) Moje głupie malarstwo.

Zenek nadgryza uszko

Z: Całkiem dobre. (Pauza) Jakichkolwiek wad byś nie miała w końcu są święta.

W święta, jak to mówią, można zaszaleć.

K: Kochany jesteś.

Z: A jak.

Dają sobie całusa i jedzą ze smakiem, aż nagle kobieta zaczyna płakać

Z: A cóż to?

K: Będą z nas przestępcy.

Z: Słucham?

K: Od pewnego czasu mam wrażenie, że zostaniemy bandytami.

Z: Bój się Boga!

K: Tak.

Z: Co to ma znaczyć?!

K: Nie wiem, ale takie gnębi mnie wrażenie.

Z: Radzę Ci nie wygadywać dzisiaj głupot. (Pauza) Niby dlaczego mielibyśmy zostać bandytami?

K: Bo nie jesteśmy bogaci.

Z: Ależ stać nas na wiele.

K: A na mercedesa? A na willę z basenem?

Z: No... Nie.

K: A widzisz?

Z: Ale to nie powód do zejścia na złą drogę!

K: Ale to też nie powód do bycia dobrym...

Z: Za dużo myślisz, a za mało wiesz. Proszę się zamknąć i nie psuć nam świąt.

Kobieta czerwieni się, jedzą

Z: Nie chlip.

K: Przepraszam.

Jedzą dalej, widać jak kobieta stara się nie wydawać żadnych odgłosów

Z: Gdzie schowałaś aparat?

K: Jest w szafce w przedpokoju.

Zenek wychodzi

K: W lewym czarnym traperze! (Klaszcząc w dłonie) Zdjęcia!

Zenek wchodzi z nowoczesnym, niewielkim aparatem

Z: Uśmiech!

Kobieta podbiega do choinki i uśmiecha się radośnie

K: Wyszyły te wielkie bombki?

Z (Patrząc na aparat) Chyba tak. Ty na pewno.

K: Ja, ja... Wczoraj wieszałam te bombki dwie godziny.

Zenek powoli podchodzi do kobiety

K (Pobłażliwie) Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj...

Mężczyzna zawraca i siada przy stole

Z: Poproszę kluski.

K (Radośnie) Robi się.

Wychodzi i wraca z dwoma miseczkami

K (Śpiewnie) Dziękujemy, ach zjemy, zjemy i będziemy...

Z: Hę?

K: Nic, nic.

Z: Przecież coś mruczysz.

K: Jestem szczęśliwa, śpiewam sobie.

Z: Lepiej jedz, bo schudłaś ostatnio.

Jedzą

K: Może by jutro zaprosić Sylwkę? Ona zna świetne dowcipy, była w Anglii i w ogóle.

Z: Sylwia wyjechała.

K: Jak to?

Z: Do Austrii. Zawsze miała wiele pomysłów na życie, he he...

K: Pomysłów? Przecież całe życie sprząta...

Kobieta wstaje i podchodzi do męża, kuca przy nim

K: Zenek.

Z: No co.

K: Wszyscy wyjeżdżają.

Z: I co z tego?

K: Może tu... Jakaś wojna jest?

Z: Znowu. Wojna? Niby jaka i o co? A idźcie, nie psuj mi smaku.

K: Wojna, Zenek. Jakaś niewidoczna.

Z: Za dużo oglądasz telewizji. Ale w nowym roku skróć ci to. Przynieś karpia. Natychmiast.

Kobieta wychodzi

Z: Czego ta kobieta nie wymyśli. Wojna! Masz Ci los.

Kobieta wchodzi z karpem na tacy

K (Radośnie) Karpiu, karpiu, my Cię zjemy, bo witamin potrzebujemy.

Z: No już lepiej. Duuuużo lepiej, myszko.

Dają sobie całusa, kobieta siada przy stole

K: Wśród nocnej ciszy, głos się rozchodzi...

Z (Gładzi ją po włosach) Pięknie.

Jedzą

K: Masz rybę.

Z: ?

K: Na brodzie.

Z: He he...

K: He he he...

Wyciera usta ręką i je dalej, po chwili wyjmuje ość

Z: He he, ość.

K: Ość? No, he he...

Z: Ość jest... Niebezpieczna! Ha ha ha...

K: Uwaga ości! Ha ha ha...

Z: Ha ha ha!

K: Ha ha... Ale dobrze, że nie połknęłaś.

Z: Taak, he he... No cóż, szczęście, wielkie szczęście!

Kończą posiłek

K: Widziałeś się z Mikołajem?

Z: Zajrzyj pod choinkę, myszuniu.

Kobieta zrywa się od stołu i pędzi pod choinkę, rozrywa jedno z pudełek

K: Niebieskie rajstopy! Dziękuję!

Z: Wiesz, że w Senegalu na przykład kolor niebieski... A, co tam. (Pauza) Będzie Twoim nóżkom... do twarży.

K: Przymierzę!

Zdejmuje spodnicę

Z: Stop! Jest wigilia moja droga.

K: Ojej, prawie zapomniałam!

Kobieta ubiera się, słychać pukanie do drzwi

Z: Otworzę.

Mężczyzna przyprowadza kołodników i ustawia ich malowniczo koło choinki

Z: Proszę, proszę, jakie słodkie buzie, co nam zaśpiewacie?

Kołodnik: Właściwie... My nie umiemy śpiewać. Brakuje nam na piwo a nasi rodzice nie żyją, rozumiemy państwo.

K: Ha ha! Jakie biedne sieroty! Przynieś im coś z kuchni.

Zenek wychodzi i wraca z butelką, podaje dzieciom

Z (Kierując chłopców do wyjścia) Idźcie już, idźcie. (Po ich wyjściu) Hołota.

K: Zenek.

Z: No co.

K: Ja... (Drapie się po dekolcie) No co ja zrobię...

Z: Teraz?

K: Tak.

Z: Poczekaj. Najpierw zaśpiewamy kołędę.

K: Zemsta? Ja tylko cię...

Z: Naprawdę chcę teraz pokolędować. Chyba chciałaś nawet tego, prawda?

K (Z uśmiechem) Tak, chciałam.

Z: Do szopy hej pasterze, do szopy bo tam cud...

Kobieta rzuca prezent na stół i wychodzi, słychać trzaśnięcie drzwiami

Z: O! (Macha ręką) Wróci. Wróci, wróci... Już wiele świąt razem spędziliśmy. Wróci, wróci na pewno.

KONIEC

WOJCIECH BRZOSKA



foto: Anna Wiech

Wojciech Brzoska (1978) – poeta, autor pięciu książek poetyckich: *Blisko coraz dalej* (2000), *Niebo nad Sosnowcem* (2001), *Wiersze podejrzone* (2003), *Sacro casco* (2006), *przez judasza* (2008). W duecie Brzoska & Mosquito zdarza mu się melodeklamować swoje utwory. Jego wiersze tłumaczone były na angielski, niemiecki, czeski, słowacki i słoweński. W przygotowaniu płyta NIE-takty.

PRYZIEMNE MODLITWY

W miesiącu Komunii, tuż przed Bożym Ciałem, wpadł mi w ręce świeżo opublikowany tomik „przez judasza”, autorem którego jest młody, trzydziestoletni poeta znany, nie tylko sosnowieckiej publiczności, Wojciech Brzoska.*

Książeczka ta zawiera 33 wiersze, a dokładniej modlitwy uporządkowane w cztery księgi: obrazów, rodzajów, zawodów i wyjścia.

Autor zabawił się w twórcę modlitewników i chyba jest to najbardziej odpowiednia forma służąca przedstawieniu, najpopularniejszego, zaraz po aferach sejmowych medialnego tematu. Co pisać o religii, promowanej nie mniej niż „Ich Troje”, której trasy pielgrzymek i wspomnienia o Ojcu Świętym sprzedają się jako dodatek do gazet, dokładnie tak, jak filmy sensacyjne?

Z uśmiechem ironii, charakterystycznym dla młodego pokolenia, sceptycznie nastawionego do spraw wiary, stylizując na język biblijny autor opowiada o życiu.

Wojtek B. pokonuje razem z nami długą drogę rodzenia się wiary, której początek leży w negacji istoty boskiej, a może nieświadomości, gdzie najświętszy sakrament jest tylko okazją do nadania

sobie imienia Jordan, jako najlepszego koszykarza ze świętych („modlitwa z opóźnieniem”), dalej prowadzi przez zwątpienie, aż do ubóstwienia słowa – literatury. Lecz niestety już nie autor jest kreatorem, stwórcą jest ten, kto nadaje dziełom rację bytu – wydawca i krytyk. To on decyduje, on osądza, do niego modli się autor („modlitwa w pańskiej intencji”).

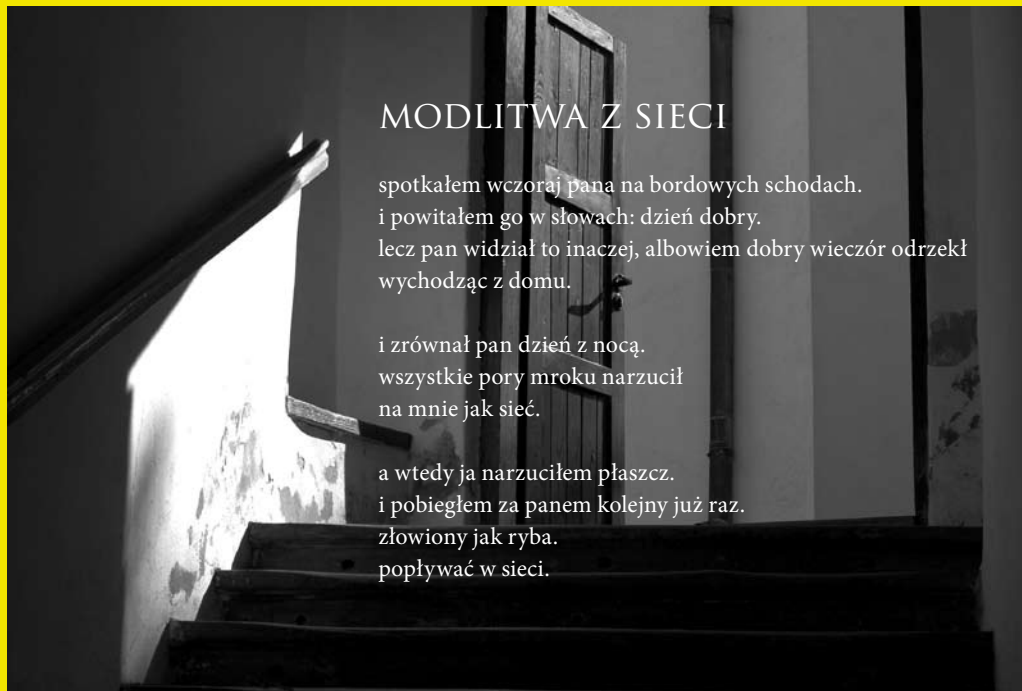
Poeta nie szczędzi kościoła, choć delikatnie, odważa się krytykować jego historię, zachowanie podczas drugiej wojny światowej („modlitwa z domu matki”). I chyba bojąc się ekskomunikacji, którą za to samo przewinienie objęto Deschnera,

MODLITWA Z SIECI

spotkałem wczoraj pana na bordowych schodach.
i powitałem go w słowach: dzień dobry.
lecz pan widział to inaczej, albowiem dobry wieczór odrzekł
wychodząc z domu.

i zrównał pan dzień z nocą.
wszystkie pory mroku narzucił
na mnie jak sieć.

a wtedy ja narzuciłem płaszczyz.
i pobiegłem za panem kolejny już raz.
złowiony jak ryba.
popływać w sieci.



MODLITWA O NIEBO I PIEKŁO

i pan, w domu którego zamieszkaliśmy,
obiegał nam strych i piwnice, jak było zapisane
w umowie.
lecz nie dotrzymał pan słowa, albowiem w piątek zajęty był
innymi słowami.

i nie mamy nieba, ani nawet piekła,
ani innych temperatur, które pańskie by były.
mamy morze kartonów z książkami
i błękitny materac, na którym pływamy
od snu do snu.

mamy bałagan w pokojach,
od góry do dołu.
i mamy letnią jesień za oknem,
dookoła i w sobie.



Wojtek podejmuje modny temat wspomnień z własnej pielgrzymki, cóż, że w sposób żartobliwy („modlitwa z pielgrzymki Anno domini 1990”). I msze przepełnione są nihilizmem, wino jest symbolem pijaństwa, Pan (dokładniej „pan”) to kamienicznik, a Domem Bożym zostaje mieszkanie. Symbole zdewaluowały się, przekłety zdrajca Chrystusowy, to tylko małe powiększające szkiełko w drzwiach, do podglądania. Wszystkie rzeczy, które mogłyby być piękne, są płytkie, puste i skończone, nawet miłość, leitmotiv modlitw, rozpada się.

Stylizacja biblijna powoduje, że tomik ma nieco monotony charakter, choć gdzieś tam, wyłaniają się z tekstu zabawy słowne i żarty skojarzeniowe. Całość pisana jest wierszem białym, i chyba dla subtelnej ominięcia polskich „religijnych” zasad ortograficznych, wszystko pisane jest małą literą.

Autor przy pomocy symboli opowiada o życiu codziennym. Zmaganiach z szarymi problemami, bez wiary w siebie. Siłę opowiadający czerpie z kolorowych obrazków i, kiedyś wielkich, magicznych znaków, jakie na moment ubarwiają mu rzeczywistość. Urealniona magia traci niestety moc.

Grażyna Machura

*Wojciech Brzoska, *przez judasza*.
01sztyń 2008.

KRYSTYNA BORKOWSKA

SŁODYCZ MIŁOŚCI

Na półkach sklepowych znaleźć można dżemy we wszystkich smakach świata, najróżniejszych kolorach i w rozmaitych cenach. Są to masowe produkcje, zawsze i wszędzie smakujące tak samo. A kto z nas pamięta jeszcze prawdziwy smak babczyńskich konfitur, smażonych długo i cierpliwie na wolnym ogniu z owoców dopiero co zerwanych w przydomowym ogrodzie, ten wie, że nie można go porównać z niczym innym. A już na pewno nie ze słoikiem kupionym w markecie.

Poezja Krystyny Borkowskiej jest powrotem do niewinności, subtelności, a zarazem zmysłowości doznań erotycznych rozkoszy. Z wierszy poetki zawartych w tomiku „Smak konfitury” aż pachnie wiosenną świeżością skoszonoj trawy, po której można beztrudno biegać boso*. Wiosną kwitną w sadach jabłonie, z których jesienią jak z dłoni „wyrastają jabłka/ wargi ich miękkie/ mogą być/

naga bosa”. Jabłek właśnie jest tu najwięcej. Kojarzą się z rajem utraconym, kuszeniem i rozkoszą. Towarzyszą kochankom podczas ich miłosnych zetknięć: „tak wiele/ jest w tobie/ z dojrzałego jabłka/ chciałabym cię zjeść”. Spotkania kochanków są soczyste i zmysłowe, są wzajemnym smakowaniem się, napawaniem aromatem, wgrzaniem w spływający sokiem miąższ owocu.

Miłość subtelna jest i delikatna, znajduje spełnienie w otoczeniu natury, w sadzie, do którego poetka często zagląda w poszukiwaniu spełnienia. Pośród liści, płatków kwiatów, bzyczenia owadów, zapachu mchu dokonują się rzeczy niezwykle, zabarwione erotycznie, jak w wierszu śniony erotyki: „weszeł/ we mnie/ jak wchodzi się/ do lasu/ na wiosnę/ gdy kwitną konwalie/ i ptaki śpiewają”. Kochankowie wiedzą, gdzie się schronić: „spotykamy się/ u Pana Boga za – płotem/ zdziwieni/ ścieżka ta sama/ i drzewo/ grozimy/ wężowi palcem/ za to/ że podstępnie/ raj oddała”.

Trudno jest dziś pięknie pisać o miłości. Trzeba stąpać słowami ostrożnie, by uniknąć z jednej strony banału, a z drugiej wulgarnej śmieszności. Trudno jest odkrywać na nowo delikatne drgnięcia pierwszych pocałunków i wzajemnego oddawania siebie w miłości, gdy świat wokół krzyczy o seksie, osiągnięciu orgazmu i olimpijskiej wręcz sprawności podczas kopulacji.

Krystynie Borkowskiej udało się w wysublimowany sposób napisać tych kilkadziesiąt wierszy o miłości składających się na jej szósty już tomik. Jej konfitury



smakują wyśmienicie, przypominając o niewinności z Pieśni nad Pieśniami, gdzie króluje miłość czysta, choć nie pozbawiona erotyzmu.

Katarzyna Krzan

*Krystyna Borkowska: Smak konfitury, Sosnowiec 2008, s. 87

Spacując, usłyszałam muzykę dochodzącą z Parku Sieleckiego. Ciekawa, wyruszyłam w stronę, gdzie kiedyś - z dziecięcych lat to wspomnienie - stał Pomnik Czynu Rewolucyjnego. Dziwna, wysoka konstrukcja z rur, bryła i zniczy, z wiecznie płonącym ogniem. Piszę o tym dla młodszych, którzy pewnie rzeźby tej nie pamiętają, za to swobodnie mogą bawić się na coraz częściej organizowanych w tym miejscu koncertach.

Gdy doszłam do olbrzymiej sceny, zdziwiłam się, czemu nic o tej imprezie nie wiedziałam. Gdzieś w natłoku informacji, umknęło mi to wydarzenie. Po frekwencji sądząc, nie tylko ja byłam niedoinformowana, a może to chłodny wiosenny dzień nie zachęcał do opuszczenia domów, albo wręcz przeciwnie, wszyscy już dawno wyjechali na długi majowy weekend.

Obco brzmiąca nazwa festiwalu „World Fusion – Music Festival Sosnowiec 2008 – Euroszanty & Folk”, z której tylko słowo Sosnowiec jest zrozumiałe, podkreśla to mianowicie, że festiwal jest międzynarodowy. Chcąc zbadać rozmiar wydarzenia poszperałam w Internecie, niestety oprócz wieści na stronach polskich, więcej informacji nie znalazłam.

Powracam do koncertu, swoistej rozgrzewki przed prawdziwym festiwalem szant i muzyki ludowej (pozwólcie, że moja nazwa będzie polska), który ma się odbyć we wrześniu w Sosnowcu. Na wielkiej scenie królował właśnie ukraiński zespół Haydamaky. Jedyńi zagranicz-

HAYDAMAKY

ny gość tego wieczoru. To prawdziwa gwiazda, bez dwóch zdań. Przykro mi było, że Ci świetni muzycy, grali przed tak niewielką publicznością. Pięknie odśpiewali i odtarli swoje utwory, które stanowią mieszankę m.in. ukraińskiego folku, rocka, jazzu, regge i poderwały do płosów nieliczną publikę. Po koncercie udałam się za kulisy i wymieniałam z wokalistą Oleksandrem Jarmolą parę słów. Zespół pochodzi z Kijowa, w jego skład wchodzi zawodowi muzycy, prawie wszyscy ukończyli studia muzyczne. Tradycyjne rockowe instrumentarium miesza się w Haydamakach ze słowiańskim brzmieniem sopilek, cymbałów, kobz.

Ten ukraiński zespół tak często koncertuje w Polsce, że na pytanie, który raz zagrali dla naszej publiczności nie są w stanie odpowiedzieć. O ich popularności u zachodnich sąsiadów świadczy też fakt, że posiadają stronę internetową w języku polskim www.haydamaky.pl.

Od głównego hajdamackiego głosu dowiedziałam się o planach. Ukraińcy w najbliższym czasie promują swoją świeżo wydaną płytę „Kobzar” i uwaga, wkrótce razem z legendarnym już tworem Voo Voo, nagrają kolejny album. Przygotowania trwają.

Tak na pożegnanie, po krótkiej rozmowie, zapytałam jeszcze czy Olek ma coś do dodania, czy chciałby

o czymś powiedzieć. Cytuje w dosłownym przekładzie z ukraińskiego „Jesteśmy prawdziwymi wojownikami świata”. Zabrzmiło to trochę dziwnie, ale po dokładnym zapoznaniu się z biografią grupy rozumiem już jego misję: „edukacja niepodległej Ukrainy przez muzykę przodków”.

Nie wypada nie wspomnieć o innych świetnych grupach występujących tego wieczoru. Prezentując „euroszanty” (paskudny eurosłowotwór) wystąpili: Perły i Łotry, Tonami & Synowie, Sąsiedzi i folkowy zespół regge Natura Mystic.

Grażyna Machura



ALEKSANDRA KALETA

Aleksandra Kaleta – sosnowiczanka, studentka ASP w Katowicach, autorka m.in. wystawy w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu „Artyści Scen Śląska i Zagłębia”. Jej prace prezentowane były także w Rondzie Sztuki w Katowicach. Aktywnie współpracuje z Fundacją Iskierka, w ramach której realizuje projekt odnowienia Oddziału Ratunkowego w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka i Matki w Katowicach Ligocie.

Z MALARKĄ W IMIENIU REDAKCJI ROZMAWIA EWA KOŚCIAŃSKA

Ewa Kościańska: Od pewnego czasu oglądamy w Teatrze Zagłębia wystawę portretów Twojego autorstwa zatytułowaną „Artyści Scen Śląska i Zagłębia”, której patronuje dyrektor Teatru Adam Kopciuszewski. Skąd pomysł na białe i czarne portrety?

Aleksandra Kaleta: Zaproponowałam formę białych i czarnych portretów, które miały być niczym teatralne maski.

E.K.: Czy według Ciebie portret powinien być bardziej ładny czy bardziej prawdziwy?

A.K.: Przede wszystkim musi być dobry, tzn. powinien odzwierciedlać nie tylko fizyczność, ale również podobieństwo, które obejmuje znamiona bardziej ukryte, jak indywidualność. Poza tym celem portretu jest zachowanie pamięci o człowieku i tak naprawdę nie ma znaczenia czy jest on ładny, brzydki, prawdziwy czy wyidealizowany.

E.K.: Skąd czerpiesz inspiracje? Czy raczej co porusza Ciebie, by z kolei poruszyć odbiorcę?

A.K.: Nie będę oryginalna, ale inspiracje czerpię po prostu z życia, z otaczającego mnie świata oraz z emocji, które towarzyszą mi każdego dnia. Wiele zawdzięczam też... intuicji. To ona podpowiada co robić, gdy życie przytłacza szarą codziennością i na chwilę przestaje inspirować.

E.K.: Aktywnie działasz dla Fundacji „Iskierka”, w ramach której realizowałaś wielkie przedsięwzięcie odnowienia Oddziału Ratunkowego w Górnośląskim Centrum Zdrowia Dziecka i Matki w Katowicach Ligocie. Opowiedz coś więcej o tym projekcie.

A.K.: Pomysł odnowienia ścian szpitalnego oddziału ratunkowego Górnośląskiego Centrum Zdrowia Dziecka i Matki dała prezes Fundacji „Iskierka” Jola Czernicka. Poznałam ją dzięki profesorowi katowickiej ASP Antoniemu Cyganowi. Projekt ten realizuję w ramach mojego dyplomu. Powierzni do pomalowania było bardzo dużo, największe problemy sprawiały większe przestrzenie, jak poczekalnie czy korytarze. Poza tym, nie zapominajmy, że jest to szpital i nie można malować, kiedy się chce, tylko wtedy kiedy można. Niestety, takich chwil jest bardzo niewiele. Mimo to, prace przebiegały sprawnie, szybko i co najważniejsze, bez szkody dla dzieci, które akurat w tym czasie trafiły na oddział. Poza tym do pomocy w malowaniu zaprosiliśmy sponsorów i darczyńców, którzy aktywnie uczestniczyli w działaniach. Projekt powoli zmierza ku końcowi. Ukoronowaniem i jednoczesnym zakończeniem akcji będzie moja lipcowa obrona dyplomowa.

E.K.: Zdradz nam swoje artystyczne plany na najbliższy czas.

A.K.: Mam kilka pomysłów w głowie na realizację nowych projektów, dostaje nowe, ciekawe propozycje współpracy. Jednakże obecnie moim głównym priorytetem jest obrona dyplomu na katowickiej ASP, a potem licencjat w Wyższej Szkole Technicznej.



3

„Studium ze świata” 1,2,3,4,5



5

4



„Portrety”.



1



2

SOSNart

Bezpłatny dodatek do Kuriera Miejskiego
Czasopisma Samorządowego Sosnowca
Wydawca: SCW Sosnowiecka Korporacja
Wydawnicza Sp. z o.o.
ul. 3 Maja 22, 41-200 Sosnowiec
tel. (032) 266 76 26 Fax (032) 266 42 59

redaktor prowadzący: Tomasz Kostro
projekt graficzny i skład: Ryszard Gęsikowski

Adres korespondencyjny:
ul. Małachowskiego 3 41-200 Sosnowiec
Wydział Kultury i Sztuki UM. tel.: (032) 296 06 47
email: sosnart@um.sosnowiec.pl



TOKOWISKO

Pan Poseł z naszego okręgu, po raz pierwszy w Sejmie, czyli bez doświadczenia, uczy się władzy. Snadź mistrzów wybrał sobie nie najlepszych i sam widocznie mało się przykłada, bo brnie w marginalia. Dał otóż głos na łamach jednego z forów internetowych. Jest to rzekoma analiza wewnętrznej sytuacji w konkurencyjnym ugrupowaniu. Jak to w Internecie, posypały się komentarze, jak to w Internecie, przeważnie niedorzeczne. Czyli, że zainteresowanie autora i komentatorów skupiają się na przewidywaniu kto kogo w najbliższych wyborach zdystansuje, która partia się rozpadnie, a której przybędzie członków i głosów. Ma się rozumieć, że z powodów niewiele mających wspólnego z naszą przyszłością. Z przeszłością może i owszem, ale żyć nam i naszym potomkom przyjdzie jutro, za rok, za dziesięć lat i tak dalej, a nie w mitycznej historii, więc niewiele mnie to obchodzi. Interesowała by mnie natomiast odpowiedź na pytanie, jakie są propozycje Pana Posła (i wszystkich innych pretendentów do władzy), jak myślą poradzić sobie z takimi

WIOSENNY ZAWRÓT GŁOWY

na przykład problemami:

Znakomita część obywateli naszego miasta (innych też) mieszka w blokowiskach z tzw. wielkiej płyty. Nie wiem kiedy, ale pewnie niebawem uroczę te budowle dożyją swego kresu i zaczną się zawalać. Czas najwyższy o tym pomyśleć. Nie wątpię, że gdzieś tam w ciszy odpowiednich gabinetów to i owo na wszelki wypadek się przygotowuje, ale do opinii publicznej mało przenika. A szkoda, byłoby o czym debatować i odpowiednią koncepcję wybrać, bo to problem nie tylko dachu nad głową, ale też prawny i porządkowania przestrzeni dla potomnych. Historia - obok wszelkich innych uderk - zostawiła nam także zeszpecony krajobraz w spadku. Warto to naprawić.

Ryzyko połamania resorów na drogach Sosnowca (i całego kraju), nie mówiąc już o bezpieczeństwie, rośnie z kwartału na kwartał. Reszta Europy z jakością nawierzchni i oznakowania sobie radzi, a my po staremu mamy zajmować się światłami mijania, czyli duperelą wobec rzeczywistych zagrożeń.

Przejdę do spraw mi bliższych. Nasze ciemne,

ksenofobiczne i zaściankowe (patrz: wyniki badań) społeczeństwo nie jest mentalnie przygotowane do XXI wieku i postępującej integracji kontynentu. Jak wzajem skutecznie się edukować? Jak zatrzymać fatalną tendencję obniżania poziomu mediów, skoro i tak większość nie rozumie tego co czyta, słucha i ogląda? Co i jak robić, żeby poziom agresji wobec sąsiada, petenta, klienta, przechodnia i współpasażera malał a nie rósł, żeby buźki nasze piękne uśmiech zdobił, a nie szpecił grymas wściekłości. Słowem, żeby w mieście i w kraju chciało się żyć, żeby nie tylko wiosną było pięknie, żeby Polak Polakowi - i innym bliżnim - przyjacielem był kulturalnym i spolegliwym, życzliwym na codzień i od święta. Żeby nie chciało się stąd uciekać. A jeśli się wyjedzie, żeby chciało się wracać.

Oto, o czym chętnie bym pogawędził z Panem Posłem. Tak mi się dziwnie pokręciło w głowie po powrocie z urlopu.

toko